

HUCZMIRANKI

RUMIANEK I MIĘTA

Tom 2.

© Copyright by Wydawnictwo „Nasza Księgarnia”, Warszawa 2016

Text © copyright by Agata Mańczyk, 2016

Projekt okładki Katarzyna Borkowska

Zdjęcia na okładce:

Dziewczyna © Natalia Ciobanu/Trevillion Images

Mięta © iStockphoto.com/angelsimon

AGATA MAŃCZYK
HUCZMIRANKI

RUMIANEK
I MIĘTA

Tom 2.

Nasza Księgarnia

ERWINA

Warszawa, 1919 rok

Kiedy przekroczyłam próg tego domu, poczułam ciarki na plecach. Zapach tuberozy i siana momentalnie stanął na straży, krążąc czujnie wokół mnie i wyczekując niebezpieczeństwa. Ema weszła za mną, jednocześnie dając wszystkim do zrozumienia, że przejęłam rządy w rodzie. Po niej pojawiły się moje córki Klara i Kora oraz Juta Lindy. Po nich wkroczyły moje wnuczki; Melisa, która w tym roku skończyła dziewiętnaście lat, i córka Juty, młodziotka Sabina. Nasz ród prezentował się już znacznie lepiej niż kilkanaście lat temu, kiedy musiałyśmy opuścić rodzinne gniazdo. Nigdy nie mogłam sobie darować, że wtedy uciekłam. Lucyna też by mi tego nie wybaczyła. Jednak co innego mogłam zrobić? Alchemiczka została zabita, a ja zostałam sama z dwójką małych dzieci i zrozpaczoną utratą córki Emą. Walka oznaczała skazanie ich wszystkich na pewną śmierć. Tamtej nocy Lucyna zabiła Agatę. Kaczatki nigdy by nam tego nie darowały. I choć dziś podpisujemy rozejm, one nigdy o tym nie zapomną. Tak jak my nie zapomnimy o Lindzie. Jednak dobrze jest wchodzić do tego domu pełnego obcych, niebezpiecznych smaków jako silny i dumny ród. Odrodziłyśmy się, wzmocniłyśmy. Dzięki szybkiemu i nieudanemu małżeństwu Juty mamy Sabinę. Mnie udało się urodzić jeszcze Korę, zanim starość upomniała się o swoje prawa. Teraz jestem już spokojna. Niedługo moja wnuczka Melisa i córka Kora również wydadzą na świat cór-

ki. Ród Huczmiranek wróci do swojej świetności. Może któraś z młodych odkryje w sobie dar alchemiczny.

Łucja, Aida i Arlena Kaczat czekały na nas w salonie. Każda stała obok swojego męża. Po obu stronach stołu miejsca zajął ród Bergonów: Fryda, jej dzieci Karol i Zeneida oraz wnuki: Krystyna, Harold, Leopold i Klaudia, która była wdową po moim byłym szwagrze – hrabim Wiktorze Połymskim. Zajęliśmy miejsca naprzeciw gospodarzy. W pokoju panowała kompletna cisza. Powietrze buzowało od napięcia, powstrzymanych zapachów, dźwięków i smaków. Nie wolno nam było uwalniać mieszanek podczas podpisywania rozejmu. Zostałoby to uznane za chęć podjęcia walki. Nikt z obecnych tego nie chciał.

Był rok 1919, kilka miesięcy wcześniej zakończyła się pierwsza wojna światowa. Ludzie, zmęczeni, chorzy i zubożali, nie mieli powodów do radości ani pieniędzy na zbytki. Trudne czasy zapanowały również dla nas. Nasza moc, przy tak niewielkiej ilości pozytywnej energii ludzkiej, była osłabiona. Nikt nie miał ochoty na konflikty. Na świecie wydarzyło się tak wiele zła, że te małe spory i waśnie straciły na znaczeniu.

– Żaden członek rodu nie zaatakuje wprost lub podstępnie członka innej rodziny. Nie wykorzysta sytuacji obniżonego poziomu bariery ochronnej do zadania ciosu ani w żaden inny sposób nie uchybi członkom pozostałych dwóch rodzin – przeczytała Łucja uroczyście z dużego, zwiniętego w rulon kawałka papieru. – Trzy rody: Huczmiran, Kaczat i Bergon będą zgodnie żyły obok siebie, nie naruszając wzajemnie swojej wolności, nie szkodząc w prowadzeniu interesów, rozwoju, wzmacnianiu i powiększaniu się rodów. W kwestiach konfliktowych najpierw będzie zwoływany Zjazd Trzech Rodzin, na którym za wszelką cenę członkowie rodów spróbują osiągnąć porozumienie. Członkowie rodów zobowiązują się, by wszelkimi dostępnymi sposobami zapobiegać w przyszłości walce

z członkami innych rodów. Podpisano Rada Rodu Huczmiran: Ema Huczmiran, Erwina Huczmiran. Rada Rodu Bergon: Fryda Bergon, Karol Bergon, Zeneida Bergon. Rada Rodu Kaczat: Łucja Bergon, Aida Bergon.

Łucja spojrzała na twarze zebranych i odłożyła pismo na stół.

– Aby przypieczętować postanowienia, napijmy się razem wina.

Klara poruszyła się niespokojnie, a Juta spojrzała na mnie niepewnie. Fryda Bergon chrząknęła, jej syn Karol westchnął zaś ciężko, kręcąc z niedowierzaniem głową.

– Spokojnie moi drodzy – powiedziała Aida. – To jest zjazd rodów, na którym podpisujemy rozejm. Dopóki trwa, gwarantujemy wam bezpieczeństwo i przyjaźń. Nic wam w naszym domu nie grozi. Przynajmniej dzisiaj. – Uśmiechnęła się dwuznacznie, ale Łucja zgromiła ją wzrokiem.

Łucja odkorkowała butelkę wina i wypełniła nim po brzeży jeden kieliszek. Upiła łyk i podała go Frydzie Bergon, która z pewnym wahaniem umoczyła usta i z widoczną ulgą przekazała puchar Emie. Ta była biała jak ściana, gdy ujęła kielich. Smakiem tego wina otruto Lucyne. Łucja chciała ją sprowokować, proponując takie przypieczętowanie rozejmu. Przez chwilę myślałam, że odmówi, ale w milczeniu zrobiła to, co do niej należało. Potem piła reszta członków Rady Rodów. Na koniec każdy uwolnił mieszankę pokoju i przyjaźni, która krążyła po pomieszczeniu do czasu, aż ostatni uczestnik zjazdu nie opuścił domu.



Warszawa żyła swoim szalonym życiem, a ludzie parli na przód z trudnym do pojęcia uporem, żeby w jak najkrótszym czasie zmienić wokół siebie jak najwięcej rzeczy. Nasze mieszkanie na Nowym Świecie zastałyśmy kompletnie zrujnowane. Wyłamane zamki, poniszczone meble, reszta rozkradziona.

Pracownia Lucyny była splądrowana. Mojemu ojcu, hrabiemu Różanieckiemu, ten widok złamałby serce. Ema przyjęła to spokojnie. Wzruszyła tylko ramionami i stwierdziła, że trzeba wszystko doprowadzić do porządku. Sądziłam, że chodzi jej o mieszkanie, ale miała na myśli znacznie więcej. Rzuciła się w wir odbudowywania dawnego warszawskiego życia. Odnowiła kontakty, umówiła kilka spotkań na najbliższe tygodnie. Tak jakby nic w mieście się nie zmieniło. Nie zwracała sobie głowy tym, że po wojnie arystokracja straciła na znaczeniu. Jej celem stało się ocalenie resztek minionego świata przedwojennej Warszawy.

Szybko zrozumiałam, że powrót do rodzinnego gniazda był błędem. Wolałabym zostać w Radomiu i prowadzić swoje ciche, spokojne życie, otoczona przez grupkę przyjaciółek z towarzystwa. Warszawa przypominała młodą dziewczynę, która zachwyca się byle błyskotką i chce spróbować każdej nowości tylko dlatego, że da jej to chwilę uciechy. Ulice roiły się od cudzoziemców. Bardzo dużo widziało się tu Żydów i Rosjan. Przybyło też Niemców. Czasem częściej słyszałam języki obce niż polski. To jednak nie było najgorsze. Pojawiły się tramwaje elektryczne, które początkowo starałam się ignorować. Aż pewnego dnia Kora niemal siłą zmusiła mnie do przejażdżki tym żelaznym upiorem, a kiedy z niego wysiadłam, nie byłam pewna, czy ze zdenerwowania dożyję do wieczora.

Niektóre ulice wybrukowano kostką kamienną, na której obcasy butów stukały niemiłosiernie, zwracając uwagę przechodniów. Pojawiły się nowe kawiarnie, które starałam się omijać z daleka. Na rogu Nowego Światu i Alej Jerozolimskich nie było już mojej ulubionej Udziałowej, w której razem z Lindą poznałyśmy Kryspina. Teraz mieścił się tam lokal o prowokacyjnej i obco brzmiącej nazwie Café Club. Te wrotkowiska, kinematografy, telefony i bary! Wszystko się zmieniało, tylko ja pozostałam taka sama. Jak miałam dalej żyć? Powin-

nyśmy dostosować się do nowej sytuacji. Musiałyśmy wyjść do ludzi, przebywać z nimi, pobierać energię. Jednak po raz pierwszy w życiu nie czułam się na siłach, żeby to robić. Patrzyłam z podziwem i pewną obawą na Korę, która codziennie przynosiła nowinki z miasta.

Ona była zafascynowana energią Warszawy i szczęśliwa, że może w tym całym szaleństwie uczestniczyć. Tymczasem powinna pomyśleć o ślubie i zajściu w ciążę. To już najwyższa pora. Dziewczyna jednak znikwała na całe dni i włóczyła się po mieście z grupką podejrzanych osobników. Mogłaby już urodzić jedną córkę. Zamiast tego wołała marnować czas w kabaretach i kawiarniach.

Właśnie ona namówiła mnie pewnego dnia na spacer po centrum. Od przyjazdu rzadko opuszczałam mieszkanie. Nie miałam ochoty na obcy gwar i podniecenie, jednak nie chciałam jej odmawiać tej drobnej przyjemności. Tym bardziej że powinnam spędzać z nią więcej czasu, by lepiej poznać dorosłą już córkę. Przeszłyśmy Nowogrodzką, Marszałkowską, potem Aleje Jerozolimskie, gdzie mieścił się tłoczny dworzec Kolei Warszawsko-Wiedeńskiej. Oglądałam nowe sklepy z imponującymi, dużymi wystawami, siedziby firm i banków, hotele. Widziałam, że mijający nas ludzie są zadowoleni i uśmiechnięci. Buzowała w tym mieście jakaś nowa energia, która je rozpierała, wzmacniając również mnie. Kiedy kupiłyśmy lody w waflu od Sachara i usiadłyśmy na chwilę w Ogrodzie Saskim, zrozumiałam, że nadal Kocham Warszawę. Ma swoją duszę i charakter. Jest silna i dumna, jak nasz ród. Dlatego właśnie tu jest nasze gniazdo. Nie mogę się od niego odwracać. Muszę znaleźć sobie jakieś zajęcie. Odetchnęłam głęboko i spojrzałam na siedzącą obok mnie na ławce Korę. Była bardzo ładna. Przypominała swojego ojca z kruczoczarnymi włosami, wysokim czołem i dużymi, szafirowymi oczami. Siedziała wyprostowana i z zachwytem przyglądała się grupie

Bułgarów, którzy grali na bębnach i tamburynach, z tańczącą w rytm melodii małpką. To będzie świat Kory, jej miasto. Nie знаła innej Warszawy, nie miała do czego tęsknić i czego wspominać. Zachwycała ją to, co mnie deprymowało i peszyło. Jednak nie mogłam się wycofać. Trzeba było żyć w świecie, jaki nam zgotowano. Zapomnieć o przeszłości i ruszać w przyszłość, jakby nic złego nie mogło nas już spotkać. Nasze życie trwa znacznie dłużej niż ludzkie i Bóg raczy wiedzieć, co nas jeszcze czeka. Nie ma sensu teraz o tym myśleć.

Zapach tuberozy i siana zawirował między nami wesoło i poczułam, że dodaje mi energii i wiary. Ród Huczmiran przetrwał o wiele gorsze rzeczy niż wrotki i tramwaje. Musimy znaleźć dla siebie miejsce w tym nowym świecie. Jesteśmy to winne przyszłym pokoleniom Huczmiranek. Spojrzałam na Korę z dziwnym uśmiechem.

– Chyba otworzę bar – powiedziałam, a ona zakrztusiła się lodami.

– Co takiego?!

Spojrzałam na nią z uśmiechem.

– Widziałam, że te, które powstały na Marszałkowskiej, cieszą się ogromnym powodzeniem. Mogłybyśmy spróbować. Co o tym myślisz?

– Bar? – Nadal patrzyła na mnie zdumiona. – Czy nie uważasz, że to dla nas zbyt... pospolite?

Westchnęłam ciężko, wspominając dawne bale, podwieczorki i rauty. Miałam wrażenie, że od tego czasu minęła cała epoka. Wojna wiele zmieniła w mentalności ludzi, ich oczekiwaniach i spojrzeniu na świat. Dzisiaj arystokracja, którą tak bardzo ceniliśmy, straciła na znaczeniu. Dlatego i my musiałyśmy poszukać nowego sposobu na bycie wśród ludzi.

– Nasze życie jest zbyt długie, by przesadnie przywiązywać się do chwilowej mody. Ludzie są zmienni i kapryśni, a my musimy wziąć to pod uwagę, jeśli nadal chcemy żyć pośród

nich. Myślę, że przyjdzie nam zaakceptować jeszcze niejedną zmianę.

– Czy to znaczy, że polubisz jazdę tramwajem? – spytała, tłumiąc uśmiech.

– Tak daleko bym się nie posuwała...

Kora zaśmiała się głośno i miałam wrażenie, że ma ochotę mnie przytulić, lecz w ostatniej chwili się powstrzymała.



Nasz pierwszy bar mleczny mieścił się przy ulicy Marszałkowskiej w pobliżu nowego hotelu Polonia Palace. Przygotowania do otwarcia trwały zaskakująco krótko. Kiedy za ostatnie pieniądze, jakie zostały nam z oszczędności zgromadzonych w Radomiu, kupiliśmy proste, ale praktyczne wyposażenie, uświadomiliśmy sobie, że żadna z nas nie potrafi wystarczająco dobrze gotować. Lucyna pośród swoich licznych talentów miała dryg do kulinariów. Gotowanie było dla niej jak tworzenie nowych mieszanek i zazwyczaj efekt był fantastyczny. Jednak od czasu, gdy Ema wyszła za mąż za hrabiego Różanieckiego i przejęła jego upodobania oraz styl życia, żadna z nas nie musiała sama gotować nawet wody na kawę. Otarzały nas kucharki, pokojówki i służące, taki styl życia bardzo nam wtedy odpowiadał. Nareszcie stałyśmy się wielkimi damami. Oświadczały nam się wysoko urodzeni mężczyźni, a księżne i baronowe zapraszały do swoich pałaców. Ema kochała takie życie i nie potrafiła pogodzić się z jego utratą. Kiedy dowiedziała się, co zamierzam zrobić, jej zapach nagle zgęstniał i pociemniał, co jednoznacznie świadczyło o oburzeniu i dezaprobachie.

– Przypominam ci moja droga, że jesteś hrabiną. Jak zamierzasz pogodzić to z pracą kelnerki?

– Dzisiaj każda hrabina powinna znaleźć sobie jakąś pracę – odpowiedziałam szybko. – Czasy się zmieniły, Emo. Różnice między stanami zaczynają się zacierać.

– Ale jeszcze się nie zatarły, prawda? – spytała surowo.

– To tylko kwestia czasu. Wojna wszystko zmieniała. Wyjdź na ulicę, rozejrzyj się. To już nie jest ta sama Warszawa. Nie możesz tego ignorować!

– Mam tyle lat, że mogę ignorować, co mi się podoba.

– Nie mierz siebie ludzką miarą. To do ciebie niepodobne. Wiesz równie dobrze jak ja, że nie jesteś tak stara, twój wiek nie usprawiedliwia takiego zachowania. Zamierzasz udawać, że nic się nie zmieniło?

Spojrzała na mnie ze zdumieniem.

– Niech każda z nas zajmie się tym, co jej odpowiada. Tak chyba będzie najrozsądniej – rzekła urażonym tonem. – Możesz parzyć kawę, jeśli to lubisz. Nie będzie to pierwszy skandal w naszej rodzinie. Twoja siostra pociągnęła nas na samo dno, więc nie ma powodu, żebyś ty miała postąpić inaczej. Jak sama zauważyłaś, świat się zmienia, ale ja, jeśli pozwolisz, nie zamierzam go gonić. Są pewne granice, których hrabina nie powinna przekraczać. Zostało mi na szczęście jeszcze kilku starych przyjaciół o podobnych zapatrywaniach.

– W takim razie jak zamierzasz wzmacniać moc i przebywać wśród ludzi?

– Niektórym, podobnie jak mnie, nie podoba się ta cała nowoczesność. Przypominam ci, że ty również nie byłaś nią zachwycona.

– To prawda, ale poczułam, że ludzie mają teraz w sobie tyle energii, optymizmu i zadowolenia. To dla nas idealny czas. Kto wie, jak długo potrwa. Powinnaś nam pomóc, zamiast udawać, że tego nie zauważasz. Nigdy nie odzyskasz dawnej pozycji. – Pokręciłam z powątpiewaniem głową.

– A czy kilka miesięcy temu wydawało ci się możliwe, że ludzie będą przyczepiać sobie kółka do butów? – Spojrzała na mnie z rozdrażnieniem.

Wiedziałam, że jej cierpliwość się kończy. Kiwnęłam głową.

– Wyrażasz zgodę na otwarcie baru? – spytałam spokojnie. Prychnęła i wzruszyła ramionami, a potem spojrzała mi w oczy.

– Czy naprawdę moje zdanie ma jakieś znaczenie? O ile wiem, lokal jest już gotowy do otwarcia.

– Nie chciałyśmy cię martwić...

– Oszczędź mi przynajmniej tych frazesów – powiedziała z politowaniem i spojrzała w okno, kończąc definitywnie rozmowę.

Kiedy kilka dni później po raz pierwszy otworzyłam drzwi baru, czułam, jak ze zdenerwowania trzęsą mi się ręce. Mój zapach wirował niespokojnie po pomieszczeniu, próbując zidentyfikować źródło strachu. Jednak ja po raz pierwszy bałam się ludzi – zastanawiałam się, czy przyjdą, czy to miejsce im się spodoba?

Za długą, błyszczącą ladą stała Klara. Miała zaczesane gładko do tyłu włosy, skromną, jasną sukienkę z białym kołnierzykiem i fartuszkim. Zaniepokojona, bębniła palcami po blacie. Kora nerwowo wycierała stoliki, które nie zdążyły się jeszcze zabrudzić. Wymieniłyśmy pełne napięcia spojrzenia. Od tej chwili nie będzie już odwrotu. Dla ludzi pozostaniemy kucharkami, sprzedawczyniami, w najlepszym razie – właścicielkami baru. Oznaczało to odcięcie się od poprzedniego życia, do którego nie będziemy już mogły wrócić. Spojrzałam z niepewnością na Klarę. Może Ema ma rację? Hańbimy nasze nazwisko, wyrzekamy się wszystkiego, co z takim trudem wywalczyła dla nas matka. Dobrze wiedziałam, co poświęciła, żeby stać się hrabiną. Nigdy o tym nie mówiła, ale wielokrotnie słyszałam jej rozmowy z Lucyną. Zresztą pamiętałam hrabiego Różanieckiego. Mimo podeszłego wieku był gwałtowny, wybuchowy i miał słabość do alkoholu oraz pięknych kobiet. Kiedy byłam mała, tak rzadko go widywałam, że nauczyłam się nazywać go hrabią, a nie ojcem, i traktować bar-

dziej jak dalekiego krewnego lub znajomego. Do tej pory nie wiem, jakim sposobem Ema doprowadziła do ślubu, bo hrabia był znany ze swojego swawolnego trybu życia i pozostawiania tu i ówdzie panien w ciąży, a do ojcostwa nigdy się nie przyznawał. Jednak zanim brzuch Emy urósł do tego stopnia, by budzić zgorszenie, byli już po ślubie. Ale według Lucyny matkę uszczęśliwiało to małżeństwo. Nawet wtedy, kiedy pijany hrabia szalał po pałacu, ogarnięty nagłą wściekłością lub żądzą. Do tej pory nie wiem, ile w tym kroku było pragnienia wzmocnienia rodu, a ile własnej niespełnionej ambicji i pragnienia społecznego awansu. Wkrótce po narodzinach Lindy hrabia wyruszył w podróż po Europie, z której nigdy nie wrócił. Pamiętam, że dziwił mnie wesoły nastrój, jaki nagle zapanował w naszym domu. Ema i Lucyna wyprowadziły się z pałacu, który – zgodnie z testamentem ojca hrabiiego – przejęła jego matka. Jednak cały kapitał i dwa mieszkania w Warszawie należały do Emy. To był kuszący świat. Zupełnie inny od tego, który znałyśmy. Na początku trudno nam było do niego wejść, bo Różaniecki, mimo tytułu hrabiowskiego, nie miał najlepszej opinii w towarzystwie. Jednak kiedy w końcu dzięki odpowiednim mieszankom wszystkie drzwi stanęły przed nami otworem, Ema wolałaby dać się zabić, niż zignorować choćby jedno zaproszenie na bal. A teraz z własnej woli rezygnowałyśmy z takiego życia. Byłyśmy tu wszystkie, ona zaś została sama. Nagle poczułam, jak czyjaś dłoń dotyka mojej, nadal ściskającej klamkę. Spojrzałam na moją córkę Klarę. Uśmiechnęła się mądrze i spokojnie, co potrafiła już jako pięciolatka.

– Zaczynamy – powiedziała i pchnęła drzwi.

Uwolniłyśmy zapachy. Klary konwalie i czosnek, najdziwniejsza mieszanka, o jakiej kiedykolwiek słyszałam, i mój zapach tuberozy i siana. Zawirowały w powietrzu, nabrały delikatnych pastelowych kolorów i przeniknęły się, tworząc

oszałamiający aromat, który obezwładniał i wprawiał w zachwyty. Po chwili do powstającej mieszanki dołączył zapach Juty – eukaliptus i paczula, oraz zapach Kory – kminek i łąbin. Wszystkie cztery przeniknęły się i zawirowały między nami. Nagle zniknęły wszelkie wątpliwości i słabość. Poczulałam się silna i zdecydowana. Spojrzałam na córki. Byłyśmy razem i zaczynałyśmy nowe życie. Krążące po pomieszczeniu zapachy uderzyły w uchylone drzwi, otwierając je na oścież, i wyleciały na ulicę. Stało się. Za chwilę pojawią się pierwsi klienci. Nie wiedziałyśmy nic o obsłudze ludzi. Do tej pory to nam wszystko podawano na tacach. Stałyśmy bezradnie, jakby niezdolne do jakiegokolwiek ruchu, kiedy próg przekroczył pierwszy, zwabiony przez naszą mieszankę, klient.

– Dzień dobry – przywitał się uprzejmie, mierząc nas lekko zdziwionym spojrzeniem. – Wspaniale u pań pachnie. Już wiem, skąd nazwa tego lokalu. Aromat. – Roześmiał się, ale widząc nasze spięte miny, chrząknął przepaszająco i spytał stojącą za ladą Klarę: – Co smacznego można zjeść?

Wymieniłyśmy zdezorientowane spojrzenia.

– Mogą być pierogi albo omlety – odpowiedział jakiś obcy głos za moimi plecami. – Takich dobrych szanowny pan jeszcze w życiu nie próbował.

– Świetnie. Zatem poproszę jedno i drugie. Te cudowne wonie sprawiają, że burczy mi w brzuchu. – Zaśmiał się i bardzo z siebie zadowolony zajął pierwszy stolik pod oknem.

Zaskoczona, odwróciłam się i zobaczyłam Ksenię. Zapropnowałam jej pracę, kiedy wykańczałyśmy lokal, ale odmówiła, nadal obwiniając nas za śmierć Lindy. A nie znałyśmy nikogo innego, kto mógłby nam pomóc. Ksenia posłała mi twarde spojrzenie i zrozumiałam, że to ona podyktuje warunki współpracy. Ruszyłam za nią na zaplecze. Stanęła z rękami opartymi na biodrach.

– Robię to tylko przez wzgląd na panienkę Jutę. Córka Lindy zawsze może na mnie liczyć. Do czego to doszło, żeby jaśnie pani obcym ludziom gotowała. – Pokręciła z dezaprobatą głową.

– Nowe czasy – rzuciłam obojętnie, zirytowana już tym ciągłym załamywaniem rąk nad przeszłością, choć sama niedawno tak właśnie robiłam.

– Racja – przytaknęła i szybko wytarła oczy rąbkiem fartucha. – Będzie mi pomagała siostrzenica. Zna się na gotowaniu.

– Dobrze – zgodziłam się bez zastanowienia, czując wielką ulgę, że nie będę musiała przyrządzać pierogów.

– Zapłacicie jej siedem złotych tygodniowo. A mnie trzysta.

– To uczciwa oferta – przyznałam i kiwnęłam głową.

– To wszystko.

Przez moment zastanawiałam się, gdzie się podział uśmiech i pokorne spojrzenie tej kobiety z czasów, kiedy była naszą kucharką. Patrzyła na mnie hardo z wysoko uniesioną głową i znowu pomyślałam, że dawne czasy już nigdy nie wrócą. Chrząknęłam, żeby dodać sobie pewności.

– No, to bierzcie się do pracy – zakomenderowałam władczym tonem, który pomógł mi zatrzeć nieprzyjemne wrażenie, że dopuściłam do sytuacji, w której na moment zamieniłam się miejscami z własną kucharką.



Przygotowywałam właśnie kawę z mlekiem z dodatkiem zapachu konwalii i cytryny. Zrelaksowany człowiek to szczęśliwy człowiek, a taki daje dużo pozytywnej energii. Klara na zapleczu przekazywała zamówienie Kseni, której siostrzenica Hanka krzątała się między stolikami, zbierając brudne naczynia i wycierając blaty. Jutta przygotowywała mieszanki zapachów, a ja przyjmowałam klientów, pobierałam opłaty, a przy okazji sporą dawkę pozytywnej energii, dzięki której

mój zapach stawał się coraz intensywniejszy. W całym lokalu powietrze aż iskrzyło od mocy krążącej między ludźmi i sprawiającej, że byli dla siebie bardziej życzliwi, a świat, zwłaszcza nasz bar, postrzegali jako wspaniałe miejsce.

Drzwi otworzyły się, kiedy przyjmowałam zamówienie od pulchnej blondynki i jej chudego jak patyk towarzysza. Spojrzałam odruchowo, spodziewając się zobaczyć kolejną zaciekawioną i onieśmieloną twarz. Po przekroczeniu progu ludzie zazwyczaj okazywali zaskoczenie, że panuje tu taka miła atmosfera. Gwar rozmów, śmiech, szepty i to coś w powietrzu, czego nie potrafili zidentyfikować, a co nie pozwalało wyjść od razu po opróżnieniu talerza. Jednak tym razem w drzwiach stanęła Kora, którą ostatnio rzadko tu widywałam. Miała zaróżowione policzki, rozbiegane, wesołe spojrzenie, a powściągliwy uśmiech świadczył o tym, że nie jest sama. Weszła, wprowadzając dwóch młodych mężczyzn, zapewne niewiele starszych od niej, i dziewczynę, z którą ostatnio często spędzała czas. Bez trudu rozpoznałam w jednym z chłopców, wysokim blondynie o niebieskich oczach, Rosjanina. Ostatnio kręciło się ich w mieście wielu. Drugi – na pierwszy rzut oka wyglądał na artystę, a dziewczyna z całą pewnością była Żydówką. Nie wiedziałam, czy bardziej niepokoi mnie fakt, że Kora włóczy się po mieście, zamiast pomagać nam w pracy, czy towarzystwo, z jakim spędza czas. Zanim zdążyłam przybrać surowy wyraz twarzy, podeszła do mnie roześmiana i podekscytowana.

– Byliśmy w kinematografie. Nie masz pojęcia, jak tam jest fantastycznie! – powiedziała z wypiekami na twarzy.

Wiosenne słońce grzało już wystarczająco mocno, żeby opalić jej delikatną skórę. Wokół wyczuwałam delikatny zapach kminku i łubinu, który krążył, radosny i niespokojny, nie wykorzystując pełni swojej mocy. Kora za mało ćwiczyła. Od kilku tygodni nie robiła mieszanek i nie uczyła się, jak wykorzystywać i wzmacniać swoją moc. Nie pracowała w barze, nie

pobierała energii od innych. Dopiero teraz, gdy zobaczyłam ją z ludźmi w tak świetnej komitywie, jakby się z nimi naprawdę zaprzyjaźniła, zrozumiałam, że dopuściłam do czegoś, co nigdy nie powinno nastąpić. Ema, pogrążona w przeszłości, widywała tylko kilku przedstawicieli starej arystokracji, do której dzisiejszy świat nie miał już cierpliwości, nie pilnowała edukacji wnuczek. Ja, zajęta barem, zostawiłam sprawy swojemu biegowi, licząc na obowiązkowość i rzetelność dziewcząt wychowanych według surowych zasad. Patrząc teraz na Korę, na jej rozwiane włosy, opalone policzki i błyszczące oczy, zrozumiałam, jak wielki popełniłam błąd. Niemal ją straciłam. Ludzie za bardzo ją fascynowali. Tak mocno do nich lgnęła, że zapomniała o tym, kim jest i czym powinna się zajmować.

– Erwino, przedstawiam ci moich przyjaciół. – Z mocniejszym rumieńcem, który zdradzał ich relacje, wskazała wysokiego blondyna. – To Anton Rohov. – Przeniosła spojrzenie na młodzieńca w luźnym stroju. – A to najlepszy pisarz młodego pokolenia Józef Żytnicki i moja przyjaciółka Talita Rubin. Dla nas po prostu Talia. – Kora się zaśmiała i uściśnęła rękę ładnej czarnowłosej dziewczyny o ciemnych, niepokojących oczach. – Wstąpiliśmy na kawę, ale widzę, że masz mnóstwo klientów.

– Zmieście się.

– Dlaczego mówisz do swojej matki po imieniu? – zdziwił się Anton i z nieskrywaną ciekawością spojrzał mi w twarz. – Czy wszyscy Polacy są tacy... bezpośredni?

Kora zerknęła na niego z zakłopotaniem. Lekko się zarumieniła, poprawiła włosy i na moment uciekła spojrzeniem w bok, zanim znowu na niego popatrzyła. Wtedy zrozumiałam, że ona się nas wstydzi. Kora Huczmiran wstydzi się swojego rodu! Nie sądziłam, że doczekam czegoś takiego. Gdyby była tu Ema, dostałaby zapaści. „Powinnaś być dumna i silna”. Czy nie to wpajała im od kołyski?

Kora bezradnie wzruszyła ramionami, jakby chciała powiedzieć, że rodziny się nie wybiera.

– Taki mamy zwyczaj. Wiesz, moja babka jest bardzo przywiązana do naszych tradycji.

– No tak, ale... – Rosjanin chciał jeszcze o coś zapytać, lecz Kora pociągnęła go za rękaw do jedyne wolnego stolika w kącie sali. Towarzysząca im dwójka poszła za nimi, a ja zostałam przy ladzie, patrząc na następną Huczmirankę, która niebezpiecznie zbliżała się do krawędzi.

 Wydawnictwo
NASZA KSIĘGARNIA
www.naszaksiegarnia.pl

02-868 Warszawa, ul. Sarabandy 24c
tel. 22 643 93 89, 22 331 91 49, faks 22 643 70 28
e-mail: naszaksiegarnia@nk.com.pl

Dział Handlowy
tel. 22 331 91 55, tel./faks 22 643 64 42
Sprzedaż wysyłkowa: tel. 22 641 56 32
e-mail: sklep.wysylkowy@nk.com.pl www.nk.com.pl

*Książka została wydrukowana na papierze
Creamy 60 g/m² wol. 2,0.*

ZING

Redaktor prowadzący *Katarzyna Piętka*
Opieka redakcyjna *Joanna Kończak*
Redakcja *Bogumiła Widła*
Korekta *Zofia Kozik, Magdalena Szroeder*
Opracowanie DTP, redakcja techniczna *Agnieszka Czubaszek-Matulka*

ISBN 978-83-10-12973-4

PRINTED IN POLAND

Wydawnictwo „Nasza Księgarnia”, Warszawa 2016 r.
Wydanie pierwsze
Druk: Zakład Graficzny COLONEL, Kraków